



ZDJĘCIA: KRZYSZTOF ZUCZKOWSKI/FORUM

Otumanianie ma granice

Sytuacja jest przedrewolucyjna. Protesty w Turcji to efekt arogancji władzy i dużych nierówności dochodów. U nas może być podobnie – mówi **GRZEGORZ W. KOŁODKO**.



Rozmawia
RAFAŁ PIŚERA

W swojej ostatniej książce „Dokąd zmierzają świat” krytykuje pan analityków i ekonomistów za to, że są gotowi powiedzieć i udowodnić każdą brednię, jeśli to jest wygodne dla ich mocodawców.

No, jednak nie każdą brednię. Otumanianie ma granice, bo ludzie są przecież coraz bardziej wykształceni. Mimo to jestem zaskoczony skalą ignorancji ekonomicznej – i towarzyszącej jej arogancji – zwłaszcza rozpanoszeniem się poglądów typowych dla anarchokapitalizmu, libertarianizmu oraz neoliberalizmu, który poprzez osłabianie państwa i redystrybucję fiskalną służy wzbogacaniu nielicznych. Te poglądy lansowane są pod płaszczykiem niby-teorii i naciąga się na nie głównie ludzie młodzi, żerując na ich łatwowierności i naturalnej tęsknocie za prostotą.

W ciągu 20-lecia większość uwierzyła, że neoliberalna ekonomia jest jedyną z możliwych. Kto miał inne zdanie, był wyśmiewany i nazywany ignorantem.

Ekonomia powinna być tak prosta, jak to tylko możliwe, ale nie prostsza. Wówczas bowiem popada się w prostactwo. Niestety, wielu ekonomistów – nawet całe ich szkoły czy centra naukowo-badawcze – para się komercyjnie udowadnianiem tego, za co im się płaci. Choć czasami wystarczy, jeśli tylko chwali się ich w mediach.

Czy zatem można dziś jeszcze ufać ekonomistom?

Ekonomistom można ufać, ale tym mądrym i uczciwym. Porażająca jest skala dyletantstwa i ignorancji. Temu trzeba się nieustannie przeciwstawiać, zarówno w sferze badań i kształcenia, jak i w publicznej debacie. Nie jest to łatwe, zwłaszcza że ta publiczna dyskusja toczy się za pośrednictwem mediów, które częściej zamiast wyrażać opinię publiczną, manipulują nią. Ze względu na własne interesy, z zaciętrzewienia ideologicznego, z najwyczejniejszej głupoty.

Przez wiele lat mówiło się, że globalizacja jest najlepszą drogą do powszechnego dobrobytu. Tymczasem ona powoduje raczej wzrost nierówności, i to zarówno



Dochody większości ludzi rosną, tyle że w wielu wypadkach szybciej bogatszych niż uboższych. Takie rozwarstwienie trzeba co najmniej zahamować

między państwami, jak i obywatelami w poszczególnych krajach. Czy pana zdaniem to się da utrzymać?

Sytuacja jest przedrewolucyjna. Przecież oprócz arogancji władzy to właśnie zbyt duże nierówności dochodowe leżały u źródła arabskiej wiosny, protestów w Turcji czy Brazylii, a także nie pierwszego (i nie ostatniego) strajku w Polsce. U nas też może wybuchnąć jakaś wiosna. Nie jest tak, że rosną dysproporcje między krajami – wręcz odwrotnie. Ścieżki wzrostu gospodarczego przez ostatnich parę dekad biegły tak, że mniejszy dystans, licząc średnie dochody, dzieli Polaków od Niemców, Meksykanów od Amerykanów, Wietnamczyków od Tajlandczyków czy Koreańczyków od Japończyków. Problem w tym, że w większości krajów narasta zróżnicowanie sytuacji materialnej. Ale i tu w większości przypadków nie jest tak, że bogaci się bogacą, a biedni biednieją. Gdyby tak było, to już byłaby rewolucja. I będzie, jeśli skutek neoliberalizmu tak miałoby być w przyszłości.

Czy w związku z tym grożą nam poważne konflikty społeczne albo i militarne? Dochody większości ludzi rosną, tyle że w wielu przypadkach szybciej bogatszych niż uboższych. Takie rozwarstwienie trzeba co najmniej zahamować, a w niejednym przypadku odwrócić, jeśli chcemy uniknąć jeszcze większego kryzysu, przy którym ten obecny czas zamętu będzie się jawił jako dziecinna igraszka. To jest trzecie – oprócz

instytucjonalnego (znikoma sterowalność sprzężonej wewnętrznie gospodarki światowej) oraz ekologicznego (nierównowaga między gospodarką i przyrodą) – z największych wyzwań, które stoją przed ludzkością. W żadnym wypadku nie potrafi im sprostać sam rynek. Konieczna jest interwencja państwa, a dokładniej zawieranie już teraz porozumień ponadpaństwowych albo wręcz globalnych. Nic bardziej niż imperatyw interwencji i regulacji związanej z tymi trzema wyzwaniami nie dowodzi tego, że neoliberalizm nadaje się już jedynie na śmietnik historii.

Czy w globalnej gospodarce takie państwo jak Polska – ani biedne, ani bogate, ani małe, ani wielkie – może sensownie sterować swoim rozwojem? Czy też pozostaje mu jedynie zaakceptowanie globalnych reguł gry?

Może i powinno. Polska jest i będzie krajem średniej wielkości, ale o ponadprzeciętnym już poziomie rozwoju. Dochód na głowę – produkt krajowy brutto liczony parytetem siły nabywczej, czyli z uwzględnieniem poziomu i struktury cen – wynosi ok. 21 tys. dolarów, podczas gdy dla siedmiomiliardowej rzeszy mieszkańców Ziemi ok. 12 tys. Polska jest – i musi pozostać – gospodarką otwartą, co implikuje strategię wzrostu ciągnioną przez eksport. Musi on rosnąć szybciej niż import, a obie te kategorie powyżej tempa przyrostu inwestycji, i wszystko to razem szybciej niż PKB, od którego z kolei wolniej mają rosnąć dochody budżetowe, a najwolniej wydatki zeń pokrywane. Taką „złotą sekwencję” udawało mi się realizować podczas „Strategii dla Polski”, gdy w latach 1994-1997 radykalnie podnosił się standard życia, przy równoczesnym postępie w sferze stabilności finansowej oraz instytucjonalnym dojrzywaniu, co zaowocowało przyjęciem nas do OECD. Dość przypomnieć, że realny PKB na mieszkańca skoczył w górę aż o 28 proc. przez tamte cztery lata. Obecnie nie ma szans na 6-7-proc. wzrost rocznie, ale na 4-5 nas stać. Wymaga to jednak mądre-

go interwencjonizmu państwowego, który powinien sprzyjać zarówno rozkwitowi prywatnej przedsiębiorczości, jak i wzmocnieniu spójności społecznej. Obecnie z jednym i drugim jest dość kiepsko.

Jak to zmienić? O czym rządzący powinni pamiętać? Jak ich zmusić do myślenia w dłuższej perspektywie?

Najtrudniej o to ostatnie, bo teraz myślą już głównie o serii czterech kolejnych wyborów – od Unii Europejskiej po prezydenckie. To ciekawe, ale to akurat prezydent Komorowski, a nie premier Tusk, zapytał grono ekonomistów, czy możliwe jest kroczenie Polski ścieżką wzrostu co najmniej 4 proc. średnio rocznie do 2025 r. To już coś, to pół pokolenia. Przedłożyłem panu prezydentowi odpowiedź w postaci 15-punktowej „Strategii dla Polski 2013-2025”, pokazując – rzecz jasna w tezach – jak można to osiągnąć. Pewne postulaty tego programu, podobnie jak i moje wcześniejsze sugestie, są realizowane, choćby intensyfikacja rządowego systemu poręczeń i gwarancji przy wykorzystaniu Banku Gospodarstwa Krajowego. Ale to za mało.

Czego brakuje?

Przede wszystkim kompleksowości działań. Rząd musi zdecydowanie odbiurokratyzować gospodarkę, wesprzeć przyjazną regulacją ekspansję przedsiębiorczości. Trzeba zwiększyć – a nie ciąć – nakłady publiczne, zwłaszcza na infrastrukturę i ochronę środowiska, angażując do realizacji projektów inwestycyjnych rodzime moce wytwórcze, bo dają to efekty mnożnikowe w sferze produkcji i zatrudnienia. Trzeba zmienić strukturę podatków i wydatków budżetowych – bez przyrostu deficytu – zwiększając w ten sposób dyspozycyjne dochody netto ludności średnio- i małozamożnej. Rząd musi wszelkimi dostępnymi sposobami wspierać ekspansję polskich przedsiębiorstw na emancypujące się rynki wschodnie – od Rosji i republik poradzieckich, przez Turcję i Bliski Wschód, po Indie, Chiny, ASEAN. NBP jeszcze bardziej musi obniżyć stopy procentowe. Na krótszą metę należy maksymalnie ożywić popyt – w sposób nieinflacyjny i bez zwiększania długu publicznego – bo istniejące moce wytwórcze są dalekie od pełnego wykorzystania. Na dłuższą zaś metę muszą szybciej rosnąć inwestycje – także zagraniczne, lecz przede wszystkim finansowane z krajowych oszczędności.

Czy pana zdaniem świat będzie umiał dogadać się w takich kwestiach jak opodatkowanie przepływów finansowych czy zmuszenie państw, które umownie nazywane są rajami podatkowymi,

a w gruncie rzeczy stosują nieuczciwą konkurencję wobec innych?

To jest dramat. Powinno dojść do takiego dogadania się, ale to przerasta współczesne mechanizmy koordynacji w skali globalnej. Jak sterować ogólnosiwiatową gospodarką, która wyłoniła się wskutek nieodwracalnej globalizacji, bez klarownego podmiotu tego sterowania – oto największe instytucjonalne i polityczne wyzwanie XXI w. Prędzej się ten wiek skończy, nim temu wyzwaniu jako ludzkość sprostamy. Trochę może pomóc formuła G-20, mogą się nieco przydać starzy znajomi: ONZ, Bank Światowy, MFW, Światowa Organizacja Handlu, OECD, ale największa nadzieja tkwi w postępie regionalnych integracji.

Takich jak Unia Europejska?

Przyszły pełen sukces Unii Europejskiej jest ważny nie tylko dla nas, lecz także dla całej cywilizacji. Największa szansa na racjonalizację globalnej gospodarki jest w tym, że o ile na początku wieku dzieliła się ona mniej więcej na 200 gospodarek narodowych, o tyle w jego końcu będzie się składała z negocjujących i układających się między sobą jakichś 15 ugrupowań integracyjnych, z których każde będzie klasę bardziej dojrzałe instytucjonalnie niż obecna Unia Europejska, oraz z Chin, które zważywszy na swój ogrom, muszą się integrować tylko z całą resztą świata. Skądinąd

robią to wyśmienicie z punktu widzenia własnych interesów.

Promuje pan projekt ekonomii umiaru jako recepty na pomyślną przyszłość. Na czym miałyby ona polegać w wymiarze globalnym, a na czym na poziomie kraju takiego jak Polska?

Tak jak w przyrodzie, tak i w społeczeństwie oraz gospodarce nie ma nic lepszego niż równowaga. Nie chodzi o pełną harmonię – oczekiwanie jej to byłaby utopia – ale o nieprzekraczalny poziomy nierównoważenia gospodarki, społeczeństwa, środowiska. Trzeba unikać zarówno niedoborów, ale i szkodliwych nadwyżek. Dotyczy to przede wszystkim nas, ludzi, traktowanych przez ekonomistów jako siła robocza. Świat tak nierównoważony jak obecnie, kiedy blisko 300 mln młodych ludzi w wieku produkcyjnym jest bez pracy, to beczka prochu. Jeśli nie stworzy się nowych miejsc pracy, jeśli nie podzieli sensownie istniejących, skracając czas pracy, wybuchnie. Z jednej strony odczuwamy, choćby poprzez rosnące ceny, ograniczenie zasobów surowców i materiałów, z drugiej ogromna ich część szybko się przemienia w gigantyczne śmieci, bo szerzy się konsumpcjonizm, czyli spożycie niedające poprawy satysfakcji życiowej. Trzeba więc miarkować także apetyty, aby można było je spokojnie i pokojowo zaspokajać. Umiar musi też

W życiu potrzebna jest równowaga



POLITYK

W latach 1994-2003 Grzegorz Kołodko czterokrotnie pełnił funkcję wicepremiera i ministra finansów. Był nim w następujących po sobie rządach Waldemara Pawlaka, Józefa Oleksego, Włodzimierza Cimoszewicza (28.04.1994 - 4.02.1997), a także Leszka Millera (6.07.2002 - 16.06.2003).



FOTOGRAF

Kołodko dużo podróżuje po świecie. Zwiedził już ponad 160 krajów. Ze swoich wypraw przywozi tysiące fotografii. Jego wystawy można oglądać w wielu miastach w kraju. Najnowszy zaprezentowany zbiór zdjęć zatytułowany „Módlmy się” był prezentowany w Akademii Leona Koźmińskiego.



MARATOŃCZYK

Sport to kolejna po ekonomii, polityce i fotografii wielka pasja Grzegorza Kołodki. Ekonomista regularnie dba o kondycję fizyczną. Bierze udział w wielu biegach maratońskich organizowanych na świecie. Dbą także o właściwe odżywianie się – jest wegetarianinem.

ZDJĘCIA: PAP/TOMASZ GZELL, WITOLD ROZBICKI/T/REPORTER, BARTEK SADOWSKI/FORUM



Dla Polski najważniejsze jest odwrócenie tendencji do narastania bezrobocia i zatrzymanie exodusu, którym jest obecna fala emigracji

zapanować w pogoni za zyskami, śrubowanymi nierzadko kosztem destabilizacji społecznej i politycznej. To wszystko ma swój wymiar zarówno globalny, jak i narodowy, polski też. No i indywidualny, o czym radzę czasami pomyśleć.

Nouriel Roubini – chyba najsłynniejszy dziś ekonomista na świecie – chwali pana, twierdząc, że dotyka pan „najważniejszych wyzwań, przed którymi stoi ludzkość”. Przyznaje panu rację, że „najlepszy sposób przezwycięzania obecnych trudności to zaatakowanie długoterminowych problemów”. Jakie zadania są w związku z tym najpilniejsze? Co rządzący powinni robić już dziś, a czego zaniechać, by zapobiec kolejnym kryzysom w przyszłości?

Najpierw trzeba mieć wizję przyszłości, a nie iluzje. Potem muszą się wyłonić przywódcy cieszący się społecznym autorytetem demokratycznego społeczeństwa. Potem mają mieć strategię rozwoju, a nie „dojtrkowe” plany. Niezwykłym warunkiem skutecznej polityki wzrostu i nośnej strategii zrównoważonego rozwoju jest oparcie ich na poprawnej teorii ekonomicznej. Proponuję jej zarys, który nazywam nowym pragmatyzmem, nie myląc przy tym środków polityki z jej celami. Co do Polski, to najważniejsze jest odwrócenie tendencji do narastania bezrobocia i zatrzymanie exodusu. Bo ta fala emigracji to już exodus. Można ją powstrzymać jedynie na ścieżce szybkiego wzrostu gospodarczego, na co Polskę stać, ale nie stać na to rządzących elit politycznych. Zaniechać natomiast trzeba kontynuowania obecnej inercji systemu finansów publicznych, który wskutek psucia przez ostatnie lata nie jest już ani dostatecznie prospołeczny, ani wystarczająco prorozwojowy. No, ale obawiam się, że dla tych tzw. elit politycznych najważniejsze jest wygranie następnego wyborów. Obawiam się poważnie, że Polska na nich przegra. Rynek nie eliminuje nieuczciwości, a demokracja nie wyklucza głupoty. Potrzebne jest coś więcej: kultura i instytucje. Ciężka przed nami droga.

r.pisera@wprost.pl